



Strasznie szybko się to potoczyło: od momentu, gdy gruchnęła wiadomość, że w Polsce wystąpi **DEATH IN JUNE** do samego koncertu nie minął bodajże miesiąc. Nawet teraz, gdy wspominam to wydarzenie, mam wrażenie ulotności przedstawienia, jakie zafundował nam Douglas Pearce oraz towarzysze. Być może spowodowane było ono kameralnym charakterem koncertu, a być może tym, że był to dopiero drugi przyjazd zespołu do Polski, a jeden z niewielu na europejskiej trasie zorganizowanej z okazji 30-lecia istnienia (zaliczając przy okazji kraje od Rosji po Portugalię).

Wieczór 15 grudnia, warszawskie Bemowo. Bilety dawno zaklepane, więc pod „Progresją” zjawiła się już nieprzypadkowa grupa fanów zespołu. Nie licząc godzinnego opóźnienia (gdzie „gate open” 18.00?), na scenie rozstawił się **DIE WEISSE ROSE** trzech panów, werble, mikrofon i róża na mikrofonie. Muzycznie krótko, marszowo i bardzo słabo. Ale jako rozgrzewacz doskonale spełnił swą rolę wprowadzając słuchaczy w odpowiedni klimat imprezy.

Natomiast co do **DIJ** zespół zagrał fantastyczny koncert. Było zarówno militarnie jak i industrialnie, gdy Mr Pearce w charakterystycznej masce rozpoczął show „*Till the Living Flesh is Burned*” - wyśpiewane inwokacje na tle samplowanych przemówień wojennych, oraz wybijanego perkusyjnego rytmu, spięły swoistą kłamrą początek i koniec koncertu, który zakończony został „*C'est Un Reve*”, jak i lirycznie ponad godzinny koncert wypełniło to, co najlepsze w wykonaniu **DEATH IN JUNE**: magiczne apokaliptyczne miniaturki, gdzie neofolk spotyka się z industrialnym brudem. Były najważniejsze, odważę się to powiedzieć, hity jak „*She Said Destroy*”, „*Rose Cloud of Holocaust*”, czy „*Death of the West*”. No, i przefantastyczny „*Little Black Angel*”. Mi osobiście, zabrakło jedynie „*Luther's Army*”, ale nie można mieć wszystkiego.

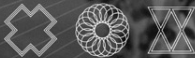
Pogratulować Douglasowi Pearce'owi wycucia czasu na koncert przeznaczył idealnie wykrojony kawałek czas. W nadmiarze taka muzyka może nużyć, a mam wrażenie, że wszyscy wyszli z uczuciem lekkiego niespełnienia i z apetytem na więcej. Tak trzymać. Ciężko jedynie rozgryźć było Douglasa Pearce'a, czy granie koncertów sprawia mu jeszcze frajdę? Z jednej strony otwarty na ludzi, z drugiej strony: „...*enjoy the songs, hate them...whatever...*” *Choć frazy Then my loneliness closes in/ so, I drink a ...Polish...wine /and drift in dreams of other lives/ and greater times...*” zjednały mu sympatię słuchaczy.

Na koniec ogromne podziękowania należą się organizatorowi koncertu Piotrowi Kościanowskiemu. Podejrzewam, że ciężkie to zadanie było. Słowa krytyki natomiast powinny powędrować do szefostwa klubu za opóźnienie (niektórzy specjalnie planowali ów dzień by dojechać i wyjechać z Warszawy wg ściśle określonego rozkładu); za dziwne pomysły w rodzaju niezwrótnej kaucja w wysokości 5 zł za „przymusowe” zostawienie plecaków w szatni.

DEATH IN JUNE

DIE WEISSE ROSE

15.12.2011



KLUB PROGRESJA

01-476 WARSZAWA
UL. SYLWESTRA KALISKIEGO 15A

Relacja: Paweł Jońca

Zdjęcie: Marcin Pflanz / alternation.pl